Świat Młodych
GAZETA HARCERSKA

Nr 25 (1703) Warszawa, wtorek, 26 marca 1968 r. Cena 50 gr

W świętym gaju OLIMPII

...Zdawało się, że widzą króla Oinomaosa, z czarną brodą, o ciemnym spojrzeniu spod nawisłych brwi, jak wsparty na włóczni, rozważa tuman kurzu na drodze. Obok stoi Hipodameja, jego piękna córka, jasne włosy spadają jej na plecy, ręką przyciska serce i drży, słysząc coraz bliższy tętent. Znów jakiś książę jedzie prosić o jej rękę. Przyszedł, wita się z królem. Krucze włosy wiją się w puklach dokoła śniadej twarzy. Pelops. Przyniosło go morze z dalekiej Lidii. Król Oinomaos mówi: „Jeśli zwyciężysz w wyścigach, oddam ci córkę, albo zabiję cię tą dzidą. Przed tobą było trzynastu i wszyscy leżą w ziemi". Zaprzęgają konie, wsiadają, lecą. Wiatr z nimi. W gorącej, jasnej umykającej dali słychać krzyk. Hipodameja zamyka oczy. Czyjeś ręce na włosach, śniada twarz Lidyjczyka tuż przy jej twarzy. Służba wynosi króla z roztrzaskanego wozu.

(J. PARANDOWSKI)

O IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH W STAROŻYTNEJ GRECJI PRZECZYTAJ NA STR. 4 i 5.

Rys. M. Kościelniak

Werdykt komisji publiczność przyjęła gwizdaniem i okrzykami protestu. To, co zaprezentowali „Skaldowie" na Festiwalu Muzyki Nastolatków w 1966 roku, było tak dziwne, że młodzież uznała ocenę jury za niesłuszną. Istotnie była to muzyka o brzmieniu zupełnie nowym, nie spotykanym w polskim big-bicie. Tak się jednak stało, że już wkrótce, zaledwie po upływie kilku miesięcy, ta sama publiczność, która bezlitośnie wygwizdała „Skaldów" na Festiwalu, stała się — w większości — zwolennikiem i entuzjastą ich muzyki. Kolejne sukcesy młodego krakowskiego zespołu były już przyjmowane jako coś naturalnego, zupełnie zasłużonego i oczekiwanego...

„SKALDOWIE" GRAJĄ DLA WAS NA str. 2 i 3

Klub Nastolatków

LIST MATKI

Piszę pierwszy raz, chociaż czytam od dłuższego czasu „Świat Młodych". Jestem osobą starszą, mam dzieci, są w tym wieku co czytelnicy waszej gazety.

Poruszyła mnie sprawa, o której pisała jedna z dziewczynek. Mam na myśli temat: „Młodzi a rodzice".

Ja również proszę o głos w tej dyskusji. Mam obawy, czy nie zostanę wyśmiana. Bo to niby osoba starsza, a miesza się w dysputy nastolatków. Cóż, nas rodziców, również ciekawią dyskusje w Klubie.

Wiem, że piszą do was dziewczęta i chłopcy, piszą ciekawie i mądrze. Mnie zafascynowała wypowiedź Hanki o tym, jak jej rówieśnicy nazywają swoich rodziców. Nie chcę powtarzać określeń, bo są zbyt wulgarne.

Pozwól mi tylko, Klubie, że za Twoim pośrednictwem podziękuję Hani za ciepłe słowa o nas — rodzicach.

Haniu! Jesteś dzielną i mądrą dziewczynką. Bądź nią nadal. Walcz śmiało przeciw złu.

Pamiętaj też, że okazując szacunek swoim rodzicom wynagradzasz im trud wychowania.

Są rzeczy, których nastolatki jeszcze nie rozumieją. Tym więcej cieszą i pomagają nam, ludziom starszym, zmęczonym życiem słowa serdeczne.

Nie znam Ciebie, Haniu, ani Twojej koleżanki. Z Twego listu wydrukowanego w Klubie domyślam się, że dziewczynka uważa się za osóbkę mądrą.

A pewnie nigdy nie pomyślała, że w przyszłości założy rodzinę. Będzie matką, a kiedy usłyszy z ust swoich dzieci „Stara", pochyli z goryczą głowę.

Przepraszam za list. Trudno — stało się, napisałam — ja matka — do Klubu Nastolatków. Ale przecież też należę do waszych stałych czytelników. (rj)

Matka dwóch córek
z Czeladzi

RED. DYŻURNY

OSTRY DYŻUR

„Świata Młodych"

OTRZYMAŁEM bardzo wiele listów na temat wyboru zawodu. W przypadkach szczególnie trudnych i pilnych odpowiadam indywidualnie. Jest jednak wiele spraw ogólnych, które pragnę dziś poruszyć, żeby nie było między nami nieporozumień i żebyście zdawali sobie sprawę, w czym nie może Wam pomóc „Ostry Dyżur", a w czym chętnie przyjdzie z pomocą.

WYJAŚNIENIA

WYŻSZE SZKOŁY OFICERSKIE: Jest ich obecnie w Polsce 12 i przyjmują kandydatów po ukończeniu szkoły średniej uprawniającej do studiów wyższych, a więc z maturą liceum ogólnokształcącego albo technikum dowolnej specjalności. Selekcja do tych szkół jest bardzo ostra. Trzeba mieć bardzo dobre wyniki w nauce, nienaganną przeszłość oraz spełniać odpowiednie warunki moralne i polityczne. Podobnie jest ze szkołami milicyjnymi.

Państwowe Szkoły Medyczne: Oprócz Akademii Medycznych są **dwuletnie szkoły pomaturalne** przygotowujące fachowe kadry średniego personelu medycznego. Przyjmuje się do tych szkół kandydatów i kandydatki w wieku od 18 do 35 lat.

Wychowanie fizyczne i sport. Wychowawców fizycznych, sportowców, trenerów, sędziów sportowych itp. kształcą w Polsce tylko uczelnie wyższe.

DZIŚ ZADANIE WAŻNE MAMY — MĄDRZE ZAWÓD WYBIERAMY

WAŻNE DLA ÓSMOKLASISTÓW

LISTY OGÓLNIKOWE

JEST ich niestety sporo, ot choćby na przykład taki: „Mieszkam w małej miejscowości, gdzie trudno o informacje co do możliwości dalszej nauki. Napiszcie mi, do jakich szkół i specjalności można się kierować" — pisze Bogdan F. z Oblicza. Albo: „Już niedługo półrocze, trzeba wysyłać podania, a ja absolutnie nie jestem zdecydowana" — komunikuje Grażyna K. z Lusławic.

Na listy takie nie mogę nic odpowiedzieć oprócz tego, co już pisałem dwukrotnie w „Świecie Młodych" (nr 19 z dnia 5 marca i nr 21 z dnia 12 marca br.), po to właśnie, żeby wskazać na sposób wybierania zawodu i omówić niektóre kierunki kształcenia się. Ze sprawami takimi — jak zacytowane wyżej — **zwracajcie się przede wszystkim do kierowników szkół**, oni bowiem najlepiej was znają i obowiązani są udzielić wstępnych informacji oraz ułatwić podjęcie decyzji.

NIEPOROZUMIENIA

WIELU ósmoklasistów pyta o możliwości kształcenia się **w szkołach oficerskich, szkołach medycznych, sportowych i zakładach kształcenia nauczycieli** bezpośrednio po ósmej klasie. Odpowiadam po kolei:

1. Do żadnych szkół wojskowych nie przyjmuje się po VIII klasie.

2. Jedyną możliwość zdobywania kwalifikacji do pracy w służbie zdrowia mają po VIII klasie dziewczęta w 5-letnich liceach pielęgniarskich.

3. Szkół sportowych po VIII klasie nie ma.

4. Jedyną możliwość zdobywania kwalifikacji do pracy w oświacie mają po VIII klasie dziewczęta w liceach dla wychowawczyń przedszkoli. Ukończenie takiego liceum nie upoważnia jednak do nauczania w szkole. Liceów pedagogicznych obecnie nie ma.

Studia nauczycielskie: Są to obecnie dwuletnie, a w przyszłości prawdopodobnie 3-letnie Zakłady przyjmujące absolwentów szkół średnich.

*

Wyjaśnienia powyższe dotyczą tylko tych czytelników, którzy po VIII klasie będą się kształcić w szkołach średnich. Nie wyczerpują one wszystkich możliwości dalszego kształcenia się i dotyczą tylko najczęściej kierowanych do nas zapytań. Dalszych tego rodzaju informacji nie będę zamieszczał, uważam bowiem, że przyszli uczniowie szkół średnich mają jeszcze dość czasu na wybór kierunku dalszej nauki.

KONFLIKTY Z RODZICAMI

BARDZO często sygnalizujecie w listach, że nie zgadzacie się z rodzicami w sprawie wyboru dalszego kierunku nauki i prosicie o radę w tej sprawie. Nie mogę w takich wypadkach podjąć się korespondencyjnego pośrednictwa i opowiadać się albo za zdaniem autora listu, albo za zdaniem jego rodziców.

Uważam, że bardzo istotnym czynnikiem w sprawie wyboru dalszej nauki są osobiste zainteresowania i zdolności ucznia. Jeżeli są co do tej sprawy wątpliwości albo różnice zdań w rodzinie, uważam, że należy jak najszybciej zasięgnąć porady w poradni wychowawczo-zawodowej.

PORADNIE WYCHOWAWCZO-ZAWODOWE

PLACÓWKAMI specjalistycznymi powołanymi do pomocy w szkole w rozwiązywaniu trudności wychowawczych i właściwym wychowaniu młodzieży do szkół średnich i na wyższe uczelnie — są poradnie wychowawczo-zawodowe.

Dokończenie na str. 3

Jacek Zieliński i „Skaldowie" — jeden z najlepszych i najambitniejszych zespołów polskiego big-bitu.

Andrzej

Mocne uderzenie

Siedzimy w dużej piwnicy tuż przy krakowskim rynku. Andrzej Zieliński, z którym rozmawiam — kompozytor, aranżer i „organista" „Skaldów" — ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Jest studentem kompozycji w Konserwatorium — Wyższej Szkole Muzycznej. Bezpośredni, miły. Opowiada mi dalej o zespole.

„Skoro młodzieżowa publiczność nie chciała nas, należało zastosować big-beat, czyli po prostu mocne uderzenie — mówi dalej Andrzej. — To brzmi jak sprawozdanie z meczu bokserskiego, ale niestety tylko takim sposobem mogliśmy zdobyć młodzież. Zastosowaliśmy zatem „Mocne uderzenie" — dosłownie, taki był bowiem tytuł filmu, do którego napisałem muzykę i dzięki któremu zdobyliśmy młodzież i popularność. Dzięki filmowi dotarliśmy wszędzie tam, gdzie nie byliśmy w stanie dojechać z koncertami. Film oceniali krytycy różnie — jedni łagodniej, inni ostrzej, ale o muzyce wszyscy byli jednego zdania. Nam było przyjemnie, że wreszcie i publiczności trafiliśmy do przekonania."

— Co było, twoim zdaniem powodem tej rezerwy publiczności?

— Graliśmy od samego początku muzykę trudniejszą od tej, którą grano powszechnie. Później przyzwyczajono się i dopiero wtedy zaczęliśmy się podobać. Nawet mówiono nam, że posiadamy wielu zagorzałych zwolenników.

— Z letnich wakacji w 1965 roku wróciłem podekscytowany. Nasłuchałem się wielu big-bitowych zespołów, ale wszystkie one wydawały mi się podobne do siebie. Po dłuższym słuchaniu byłem tą muzyką zmęczony, mimo że bardzo lubiłem i lubię mocne uderzenie.

— Nie ma co narzekać — pomyślałem — trzeba spróbować zrobić coś zupełnie innego. Usiadłem do pisania i napisałem kilka utworów, które rozdałem kolegom. Rozejrzałem się za gitarami, za perkusistą i rozpoczęliśmy próby. Jesienią tego samego roku, a więc zaledwie po dwóch miesiącach, wystąpiliśmy na Krakowskiej Giełdzie Piosenki. To był...

...pierwszy sukces

Skomponowana przeze mnie piosenka „Moja czarownica" do tekstu Wiesława Dymnego, zajęła pierwsze miejsce. Był to bardzo spokojny, nastrojowy utwór. Podobał się publiczności jego klimat. Na trzeciej Giełdzie moja piosenka „Jutro odnajdę ciebie", z tekstem Leszka Moczulskiego, zajmuje również I miejsce. Do tej piosenki po raz pierwszy w Polsce wprowadzam kwartet smyczkowy, a więc grupę instrumentów grającą zwykle muzykę poważną. Staram się w ten sposób wzbogacić utwór... A potem jeszcze jeden sukces — I miejsce na Festiwalu w Opolu, no i pierwsza „klęska" — spotkanie oko w oko z młodą publicznością na lipcowym Festiwalu Muzyki Nastolatków. Jury przyznało nam pierwszą nagrodę, ale publiczność, dla której graliśmy, wygwizdała nas.

Trudno, zdarza się! Nie wyrywaliśmy sobie z tego powodu włosów z głowy, ale było nam przykro. Postanowiliśmy czekać i grać dalej"...

PIOSENKA Z REPERTUARU „SKALDÓW"

UCIEKAJ... UCIEKAJ!

Słowa: **Leszek Moczulski** Muzyka: **Andrzej Zieliński**

Uciekaj, uciekaj,
bo cię wiatr zatrzyma!
Uciekaj, uciekaj,
bo cię deszcz zatrzyma!
Znów chmury na niebie...
Daleko do ciebie...
Hej! Daleko do ciebie!

Uciekaj, uciekaj,
bo cię wiatr zatrzyma!
Uciekaj, uciekaj,
bo cię mgła zatrzyma!
Już nocka na niebie...
Jak ja znajdę ciebie...
Hej! Jak ja znajdę ciebie?

Uciekaj, uciekaj,
bo cię wiatr zatrzyma!
Uciekaj, uciekaj,
bo cię świt zatrzyma!
Słoneczko na niebie —
jak blisko do ciebie...
Hej! Jak blisko do ciebie...

Uciekaj! Uciekaj!

„Skaldowie" mieszkają w Krakowie. Blisko stąd do Zakopanego, do Tatr. „Lubię góralskie pieśni, przyśpiewki — mówi Andrzej. — Postanowiłem, że wprowadzę do polskiego „mocnego uderzenia" góralski folklor, tę specyficzną muzykę, która niejednego kompozytora oczarowała.

Tak właśnie powstała świetna, napisana przez Andrzeja piosenka „Uciekaj, uciekaj!" znana dziś w całej Polsce. Kiedy przed miesiącem, w sali warszawskiej operetki odbywała się wielka impreza muzyczna „MUSICORAMA", „Skaldowie" tą właśnie piosenką, przy ogłuszającym aplauzie setek chłopców i dziewcząt, rozpoczęli swój koncert. Oto co na ten temat pisze czołowy krytyk muzyki rozrywkowej — Mateusz Święcicki:

„Śpiew juhasa na hali, w muzyce Andrzeja Zielińskiego, nie ulega bynajmniej mechanicznemu przeniesieniu na instrumenty elektroakustyczne i głosy, lecz ten młody kompozytor potrafi wydobyć cząstkę specyficznej atmosfery gór, stylu i klimatu poprzez swobodne poruszanie się w tonalności, harmonice, rytmice i barwie dźwięku muzyki góralskiej."

Jacek studiuje w klasie altówki w Krakowskim Konserwatorium. Muzyczne wykształcenie „Skaldów" sprawia, że ich utwory, ich aranżacje i technika wykonania są na najwyższym poziomie.

Tajemnice kompozytorskiego warsztatu

Dlaczego zainteresowałeś się właśnie big-bitem? — pytam Andrzeja. — Przecież jako student kompozycji nie piszesz na uczelni utworów rozrywkowych.

— Widzisz, ja sądzę, że termin „muzyka rozrywkowa" nie musi znaczyć „muzyka gorsza". Bywają przecież dobre utwory rozrywkowe i złe utwory muzyki poważnej. Studiuję w klasie kompozycji u Lucjana Kaszyckiego — znanego kompozytora, który pewnie znany jest twoim czytelnikom, jako twórca wielu piosenek i utworów rozrywkowych. Moim zdaniem dopiero wtedy będziemy mieli naprawdę dobrą muzykę rozrywkową, kiedy pisać ją będą ludzie do tego przygotowani.

— Czy nie sądzisz, że muzyka big-bitowa jest powszechnie zrozumiałym językiem, którym porozumiewać się mogą nastolatki wszystkich krajów?...

— Tak! I dlatego właśnie, że jest ona językiem, że za pomocą niej, można się z młodzieżą porozumieć, dlatego właśnie chciałbym pisać tę muzykę, chciałbym pisać dobrze, żeby ten język wzbogacić.

— A ja chciałbym skorzystać z twojej popularności i poprosić cię o krótki wykład o muzyce big-bitowej...

— Na wykład to chyba nie starczy miejsca, ale chciałbym, aby młodzi miłośnicy big-bitu znali kilka terminów muzycznych, bez których rozumienie muzyki jest trudne. Na przykład:

Aranż...

...czyli instrumentacja, rozpisanie melodii na instrumenty i głosy. Wprowadzanie kolejno poszczególnych instrumentów i fragmentów solowych. Aranżacja to jakby reżyseria muzyczna utworu. Np. w piosence „Uciekaj, uciekaj"! po kolei wprowadzam do akcji kwartet smyczkowy, śpiew, gitary, perkusję i organy, reżyseruję momenty kulminacyjne i zakończenie. Mistrzami aranżacji są Bitlesi, którzy jako pierwszy zespół na świecie na szeroką skalę wprowadzili do swoich utworów elementy muzyki dawnej. Nasze próby wprowadzenia do big-bitu muzyki barokowej robiliśmy mniej więcej w tym samym czasie.

Przeróbka — a inspiracja

Przeróbka to rzecz najprostsza. Zmienia się jedynie rytm melodii. Znane są przeróbki jazzowe fragmentów arii operowych (Carmen — Bizeta) i utworów ludowych („Ej przeleciał ptaszek", „W murowanej piwnicy"). Inspiracja to coś innego. To jakby przetrawienie klimatu utworu i napisanie go zupełnie inaczej. Chopin inspirował się polską muzyką ludową i stworzył wielkie dzieła. Tak samo Moniuszko. Odczytujemy w ich utworach ślady tematów ludowych, ale pod rękami mistrzów zmieniły one swój charakter, nabrały jakby ogólnoludzkiego znaczenia.

Long-play

Rozpoczyna się próba zespołu. Przyszedł Jacek, brat Andrzeja, również student Krakowskiego Konserwatorium. Gra na altówce. A w zespole — o tym wie cała Polska — śpiewa. Czasem gra na trąbce. Oto inni członkowie zespołu — gitarzyści: Marek Jamrozy, Jurek Tarsiński, Konrad Ratyński i perkusista Janek Budziaszek. Chłopcy rozkładają nuty. Andrzej ustala aranżacje. Za kilka tygodni wspólnie z Ewą Demarczyk „Skaldowie" wyjadą na zagraniczne tournée. Usłyszą ich mieszkańcy ZSRR.

Siedziałem na ich próbie kilka godzin i nie bede jej długo opisywał, żebyście mi zanadto nie zazdrościli. Entuzjastą zespołu byłem już wcześniej, ale dopiero „na żywo" zespół jest naprawdę wspaniały.

— Niedawno ukazał się nasz pierwszy long-play. Przygotowujemy już drugi — mówi Andrzej. No cóż, chciałbym, żebyś powiedział czytelnikom, by nigdy nie gwizdali i nie protestowali przeciw żadnemu zespołowi, którego nie rozumieją. Wtedy w 1966 roku było nam bardzo przykro. Na szczęście teraz jest już inaczej. Podziękuj czytelnikom za wszystkie brawa, jakimi obdarzają nas na koncertach i powiedz, że staramy się, by drugi long-play, był o wiele lepszy od pierwszego.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora

OSTRY DYŻUR „Świata Młodych"

Dokończenie ze str. 2

Do zadań poradni należy udzielanie pomocy nauczycielom i rodzicom w przygotowaniu młodzieży do wyboru zawodu lub kierunku dalszego kształcenia, a także prowadzenie badań indywidualnych i grupowych kandydatów do szkół średnich i na wyższe uczelnie odnośnie przydatności do poszczególnych zawodów-specjalności z punktu widzenia właściwości psychicznych i fizycznych.

Okręgowe poradnie wychowawczo-zawodowe, podległe bezpośrednio kuratoriom okręgów szkolnych, współdziałają z pełnomocnikami prezydiów wojewódzkich rad narodowych do spraw rekrutacji na studia wyższe i z wydziałami zatrudnienia.

Prowadzą również szeroką działalność informacyjną i propagandową w zakresie możliwości zdobycia zawodu i perspektyw późniejszej pracy, biorąc pod uwagę potrzeby i plany rozwoju kultury i gospodarki narodowej.

UWAGA: **Poradnie wychowawczo-zawodowe istnieją w każdym mieście wojewódzkim, w wielu miastach powiatowych i w dzielnicach większych miast. Dokładnych informacji na temat adresów najbliższych poradni wychowawczo-zawodowych udzielają kierownicy szkół, wydziały oświaty i kultury powiatowych rad narodowych i kuratoria okręgów szkolnych. Do nich więc, a nie do „Ostrego Dyżuru" należy zwracać się w tej sprawie. Podkreślam, że pierwszą osobą, która może udzielić informacji na ten temat, jest kierownik szkoły, który powinien mieć specjalnie do tego celu wydany informator. Adresów poradni w całej Polsce nie mogę zamieszczać, gdyż zajęłoby to miejsce niemal w całym numerze.**

TREMA, NIEPOKÓJ, ZMĘCZENIE

Powszechnym zjawiskiem w Waszych listach jest obawa przed egzaminem, trema przy odpowiedziach repetycyjnych, niepokój ogólny i zmęczenie, a nawet przemęczenie nauka. Jest to charakterystyczne nawet dla bardzo dobrych uczniów. W tym chciałbym Wam pomóc najbardziej, bo dobra kondycja fizyczna i psychiczna przed decydującymi wydarzeniami w życiu ma nie mniejsze znaczenie niż nawet bardzo dobre wyniki w nauce.

Razem ze swoimi współpracownikami-specjalistami przygotowaliśmy już zestaw materiałów i porad praktycznych w tej sprawie. Zamieszczę go w jednym z najbliższych numerów „Świata Młodych".

Dziękuję za listy. Pozdrawiam Was serdecznie.

REDAKTOR DYŻURNY

OD GRECJI DO MEKSYKU

DYSKOBOL MIRONA, POŁOWA V WIEKU P.N.E.

Czas pokoju

W NIEPORÓWNANEJ czystości ateńskiego poranku głos spondofora brzmiał pięknym głębokim tonem.

... W trzecią pełnię po przesileniu letnim, w elejskim miesiącu Parthenios, Olimpia przyjmie zawodników i gości. Stanąć do igrzysk ma prawo każdy Grek, wolno urodzony, nie splamiony zabójstwem, i nie obciążony klątwą bogów. I wszystek świat powinien być wolny od zbrodni, bez zmazy krwi, nie zakłócony zgiełkiem broni, a najbardziej ziemia elejska, i Święty Gaj Dzeusa, i czas, i miejsce igrzysk. Pokój boży.

Stare wyrazy, jeszcze dostojniejsze w rozlewnej wymowie kapłana olimpijskiego, po raz siedemdziesiąty szósty powtarzały święte przymierze, które o brzasku dziejów zawarli i na spiżowym dysku spisali królowie historii wczesnej jak legenda: Ifitos z Elidy, Kleosthenes z Pisy i Likurgos ze Sparty. W pamięci słuchających wiły się ostre litery napisu, który biegnie po kręgu spiżowym, od krańca do środka, jak wąż, boski wizerunek wieczności. Od trzech stuleci tym samym głosem woła Olimpia, co cztery lata wdziera się świetlistą pręgą stadionu między Gniew i Spór, wytrąca miecze i przy jednym ołtarzu trzyma wrogów bezbronnych (...)

Mowa spondofora zdaniem po zdaniu rozbrajała kraje, miasta, góry, wybrzeża. Hellada, rozproszona w sto drobnych ustrojów, pozamykanych granicami, murami, wałami, żyjących w odosobnieniu swych praw i obyczajów, w rozjątrzeniu dziedzicznych waśni, otwierała się wolną przestrzenią wzdłuż dróg i ścieżek, które rozkaz boży obdarzał bezpieczeństwem. Obezwładniał nawet rozbójników z wąwozów górskich, nawet barbarzyńców, niepodległych religii Dzeusa, albowiem każdy Grek przyjmował na siebie obowiązek ścigania tych, którzy by jakimkolwiek gwałtem zagrodzili drogę do Olimpii. Nastawał czas powszechnego rozejmu. Zapowiedziany z wiosną miał trwać do jesieni, łącząc dwie najświętsze pory roku: kiedy niebo daje obietnice i kiedy je wypełnia.

(J. PARANDOWSKI)

STADION olimpijski miał kształt bardzo wydłużonego prostokąta. Od południa sztuczny nasyp oddzielał go od hippodromu. Stopni kamiennych ani choćby drewnianych do siedzenia nie było, a widzowie siedzieli na darni położonej na pochyłości góry Kronosa i sztucznych nasypach ziemnych. Tak było za pierwszych olimpiad, tak pozostało do końca.

Na obu końcach placu do zawodów, przez całą jego szerokość, przechodziły dwa kamienne progi, a w nich osadzone były prostopadle drążki: to szranki dla biegaczy. Przestrzeń, od szranków do szranków, piaskiem wysypana, miała sześćset stóp olimpijskich rzekomo według wielkości stóp Herakliesa odmierzony (192 m × 27 m), czyli jedno stadion. W szrankach, pomiędzy drążkami, było dwadzieścia miejsc dla zawodników. Biegi krótkie wynosiły albo jedną długość stadionu, albo dwie i wówczas zawodnicy po dobiegnięciu do szranki błyskawicznie zawracali i całą chyżością swych nóg do linii startu biegli.

IGRZYSKA ku czci Zeusa obchodzono w Olimpii, na Peloponezie. Z całej Grecji oraz kolonii położonych wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego przybywali zawodnicy, widzowie, posłowie władz i państw, kupcy z wszelakim towarem.

Uroczystości trwały pięć dni. Pierwszego — składano ofiary Zeusowi i odbierano przysięgę od zawodników. Drugiego — odbywały się na stadionie zawody chłopców (15-18 lat) w biegach krótkich, mocowaniu się i walce na pięści. Trzeciego — trwały zawody mężczyzn (powyżej 18 lat) w biegach krótkich i długich (7 lub 12 okrążeń), skoku, mocowaniu się i walce na pięści oraz pankration (połączenie mocowania się i walki na pięści). Czwartego — na hippodromie rozgrywano wyścigi konne (wierzchem i na wozach), a na stadionie — pięciobój (pentation) oraz bieg hoplitów, czyli zawodników przyodzianych w zbroje. Ostatni dzień — przypadający na pełnię księżyca — był dniem zwycięstwa. Bezpośrednio bowiem po każdych zawodach zwycięzcy otrzymywali gałązkę palmową, a piątego dnia zdobiono ją skronie wieńcem z gałązek ściętych złotym nożem ze świętego drzewa oliwnego. Zwycięzcom przysługiwało też prawo wystawienia swego posągu w Świętym Gaju Zeusa. Ku ich czci komponowano pieśni a imiona ich stawały się sławne w całej Grecji.

W czasie trwania igrzysk poeci wygłaszali swe utwory, historycy odczytywali fragmenty swych dzieł, państwa zawiadamiały o zawartych układach.

Według legendy o Oinomaosie (patrz str. 1) były to właśnie pierwsze zawody stoczone w pobliżu Olimpii. Igrzyska olimpijskie zaczęto rozgrywać znacznie później, bo dopiero od 776 roku p.n.e. Odegrały one ogromną rolę w rozbudzaniu poczucia jedności narodowej Hellenów. Według igrzysk (odbywających się co cztery lata) liczono czas.

Trwały do roku 394 n.e., a zostały zakazane przez cesarza Teodozjusza Wielkiego jako obyczaj pogański, sprzeczny z wiarą chrześcijańską.

Na hippodromie

Ledwo zaczęło szarzeć, otwarto stajnie. Konie, wyprowadzone z mroku, rżały z głową podniesioną ku niebu, jakby wzywając Heliosa, któremu były poświęcone. Ludzie wybiegli z namiotów, półnadzy, półrozbudzeni. Na twardej spalonej ziemi kopyta dzwoniły metalicznym tętentem cymbałów.

(...) Na widok koni perskich powstał szmer. Wzięte przy zdobyciu obozu pod Platejami, rozeszły się już po świecie drogą handlu (...) Do ich obsługi kupowano jeńców. Każdy z nich miał obiecaną wolność w razie zwycięstwa i śmierć na wypadek klęski: nie widziano innego sposobu, jak sobie zapewnić władzę nad zwierzętami, których zwyczajów i tresury nikt nie znał.

(...) Nie było ani jednego karosza. Nikt by się nie ważył dosiąść albo zaprząc do wozu zwierzęcia, które przez swą maść należało do bóstw śmierci podziemi.

(...) Jeźdźcy i woźnice byli już gotowi. Pierwsi nadzy i natarci oliwą jak zawodnicy, drudzy w białych długich chitonach, które związane w pasie, opadały do kostek w równoległych fałdach, na podobieństwo żłobkowanych kolumn. Na szyi, w wycięciu chitonów, widać było sznurki od amuletów, które nosili na piersiach. Ich niebezpieczny zawód nasiąknął odwiecznymi przesądami.

(...) Uprząż, lejce połyskiwały złotem... Jeźdźcy obwiązywali rzemieniami nogi przy kostkach. Nie było strzemion ani siodeł.

(...) Wyścigi wozów już były rozpoczęte. Stanęło ich trzydzieści, dziesięć tuzinów koni szło w lejcach. Pierwsze okrążenia minęły spokojnie, jakby widowisko miało się wyczerpać na tym biegu barw, połysku i chrzęstu (...) Czekało jeszcze dwadzieścia okrążeń, gdyż pełna długość biegu wynosiła siedemdziesiąt dwa stadia. Konie coraz bardziej się rozpalały. Woźnice, przechyleni nad pudłem wozu, które im sięgało do bioder, odrzucili bicze. Z ich twarzy, ściągniętych skurczem, z napiętych mięśni poznawało się wysiłek, z jakim walczą przeciw samowoli zwierząt.

(...) Wozy mknęły w szalonym tempie, okryte gęstą chmurą pyłu. Rozorana jezdnia odsłoniła spod piasku czerwoną ziemię, którą darły kopyta koni, zasypując pierwsze szeregi widzów grudkami (...)

I nagle wirująca obręcz pękła.

Wóz państwowy z Argos zawadził o słup okrążeń, rozległ się trzask złamanego koła, krzyk wielu tysięcy ludzi. Konie argiwskie rzuciły się w bok i wpadły na konie z Messany, które były najbliżej. Uczynił się zator, nadjeżdżające wozy, nie mogąc pohamować pędu, wlatywały na siebie jak gwiazdy wytrącone z orbit. Splotło się okropne kłębowisko, które tylko śmierć mogła rozwiązać.

Ale woźnica Therona, który był ostatni, zdążył za wczasu powściągnąć konie i zbliżywszy się ostrożnie śmiałym zawrotem wyminął to rozdygotane jak wulkan usypisko wozów i ludzi (...) I ten jedyny ocalały wóz krążył po hippodromie bez przeszkód i bez rywali.

Woźnica stał wyprostowany wysoko trzymając lejce. Niekroć zbliżał się do fatalnego słupa, wśród widzów robiła się cisza, w oczekiwaniu, że Taraksippos nie wypuści i tej ofiary. Rzeczywiście, w chwili gdy trąba herolda ogłosiła ostatnie okrążenie, konie z Akragas zachwiały się na widok martwego towarzysza, który tam leżał, jeszcze nie uprzątnięty. Ale woźnica zapanował nad nimi i pokonał ich strach wzmożoną szybkością. Gnali przez pustą jezdnię, jak by przed niewidzialnym pościgiem, póki nie wyzwolił ich przejmujący dźwięk trąb — u pustej mety.

(J. PARANDOWSKI)

OFIARA

HYMN do Zeusa przebrzmiał, uroczysta cisza zaległa gaj. Tłumy patrzyły w milczącym skupieniu. Jeden z kapłanów zanurzył płonącą pochodnię w kotle. Z trzaskiem i sykiem zgasła, poświęcając w ten sposób wodę. Młodzieńcy wysmukłymi lekitami czerpali ją z kotła i polewali kapłanom i sobie ręce, po czym kapłani kropili rzesze w cztery strony świata.

Po tym oczyszczalnym obrzędzie młodzi pomocnicy przytrzymali rogi buhajom, a kapłani obwiązywali bydlętom rogi białymi opaskami, których długie końce zwisały ku ziemi (...) Tymczasem kłęby dymu wionęły ze stoku na płaskie szczyte

W ŚWIĘTYM GAJU OLIM

APITE — GOŃ

(...) Do południa wypróbowano jeszcze parę rodzajów długiego biegu. Niewolnicy usunęli słupy u mety i ustawili pośrodku cokół kamienny, który miało się okrążać. Okrążeń było siedem i dwanaście (...)

Rzuty odbywały się z miejsca zwanego: balbis, oznaczonego trzema kresami, jakby ktoś, rysując kwadrat, zostawił jeden bok otwarty. Była to szczupła przestrzeń, nie szersza nad dwie stopy. Przedniej kresy nie wolno było przekroczyć, nawet przydeptać palcami (...) Tymczasem wywoływano „starszych". Jeden po drugim obsypywał dysk piaskiem, dla łatwiejszego uchwytu, wbiegał do balbis, czynił właściwe ruchy i obroty, i, wyprężony w swym ostatnim przegięciu, lecial wzrokiem za świstem metalu. Rzuty oznaczano strzałami wbitymi w piasek (...)

Przyniesiono halteres, ciężarki do skoków. Przeważnie były nowe, z żelaza, kupione w Elidzie. Wyglądały jak ezolenka lub ćwiartki jabłka, wydrążone w środku dla uchwytu. Były niewątpliwie zgrabne, celowe, doskonałe. Ale kilku posiadało stare — półokrągłe, sierpowate kawały kamienia.

Oszczep był prostym kijem, grubości palca, nie przekraczającym wzrostu ludzkiego. Pośrodku przytwierdzało się rzemień ze zwisającą pętlą. Należało go uwiązać mocno, kilku ścisłymi objęciami, żeby nie zsunął się po gładkim drążku. Włożywszy w pętle dwa palce, wskazujący i średni, trzymano drzewce ponad ramieniem w gotowości do rzutu. Wywołany biegł w parku krótkimi podskokami do balbis i cofniętym wstecz ramieniem, z pełnego rozmachu puszczał oszczep.

(J. PARANDOWSKI)

FERENIKE MATKA PEJSIDOROSA

Był to rok 428 p.n.e., czyli rok 88 olimpiady. Wokół Świętego Gaju rozbił namioty tłum nieprzebrany. Z Kartaginy i Sycylii, Egiptu i Tracji, z potężnych kolonii i dziesiątków państewek samej Grecji przybyli tu zawodnicy, by walczyć o wieniec sławy, i widzowie, by przy okazji igrzysk załatwiać swe handlowe, czy państwowe interesy.

Był czwarty dzień zawodów. Zaczynał się pięciobój. W ostrym blasku słońca błyszczały nagie ciała natarte oliwą.

Pentatlon rozpoczynał się od próby skoków. Każdy z dwudziestu zawodników brał w ręce ciężarki i wprawiwszy je, przy dźwiękach fletów, w ruch wahadłowy, oddawał skok, odznaczony natychmiast przez wbicie w piasek strzały. Gdy wszyscy już skoczyli, służba przeciągnęła powróz przez całą szerokość stadionu, pięć najdalej wysuniętych strzał odgrodziwszy od reszty. Tych pięciu miało teraz prawo przystąpić do rzutu oszczepem. Najgorszy z nich musiał się wycofać, a czterech pozostałych stanąwszy na starcie czekało aż opadnie sznur, by rozpocząć bieg na długość stadionu. I znów jeden, najsłabszy, odpadał.

Zostało ich trzech tylko. Przyniesiono teraz trzy ciężkie kręgi spiżowe. Po rzutach dyskiem już tylko dwaj zawodnicy mogli przystąpić do piątej, ostatniej próby.

Posypali teraz swe ciała drobnym piaskiem, zwłaszcza na karku i na ramionach. Szło bowiem o to, by śliska, natarta oliwą, skóra stała się łatwiejsza do chwytów. Ksenokles i Pejsidoros rozpoczęli zapasy. Ten, który zwycięży, następnego dnia otrzyma wieniec oliwny.

Długo trwała walka. Godnymi siebie przeciwnikami byli ci dwaj, pięknie zbudowani, młodzieńcy. Aż w końcu Ksenokles osłabł i piersią runął w piasek.

Szał ogarnął tłumy siedzące na stokach stadionu. Pejsidoros — zwycięzca, szedł ku hellanodikom lecz oczyma błądził po trybunach, z niepokojem szukając drogiej sobie postaci. Wśród tej ciżby siedziała gdzieś przebrana w męskie odzienie jego matka. Złamała surowe prawa zakazujące niewieście przekroczenia granic Świętego Gaju. Zuchwałej kobiecie groziła okropna kara: strącenie ze Skały Typpajońskiej, co dziko sterczy po drugiej stronie rzeki Alfejos.

Kiedy Pejsidoros poszedł do sędziów i otrzymał z ich rąk palmę zwycięstwa, Ferenike zapomniała o koniecznej ostrożności. Przeskoczywszy przez sztarki chciała pobiec do syna i wtedy rozpoznano w niej kobietę.

Przez tłum przebiegł krzyk zgrozy:

— Kobieta! Niewiasta tu, na stadionie! Pod sąd! Pod sąd, ją!

Ferenike z Rodos nie zamierzała się bronić.

— I ojciec mój, i bracia moi, i mąż mój walczyli w Olimpii i zwyciężali. Ich posągi w Świętym Gaju stoją. Więc kiedy syn do walki przystąpił, chciałam mu towarzyszyć, być przy nim. Zwyciężył! Mogę teraz spokojnie umierać.

Do sędziów podbiegł Pejsidoros i, dopiero co otrzymaną gałąź wręczając, błagał, by darowali życie matce, a on w zamian zwróci to, co ma najdroższego: olimpijski wieniec.

A tłum słysząc to wszystko zaczął teraz wołać: Litości! Litości!

Sędziowie wówczas postanowili głosować. Podchodzili kolejno do urny, wrzucając tam galki. Czarna — śmierć oznaczała, biała — życie.

Kiedy wysypano gliniane naczynie, na darń same białe galki się wysypały.

Hippodrom — plac do wyścigów konnych
Helios — bóg słońca
Tarakspipos — ten, co straszy konie
Spondofor — kapłan olimpijski.

Na podstawie: „Dysku Olimpijskiego" — Jana Parandowskiego; „Ferenike i Pejsidoros" — Lucjana Rydla oraz Małej Encyklopedii Kultury Antycznej do druku podał

JERZY B. KLIMA

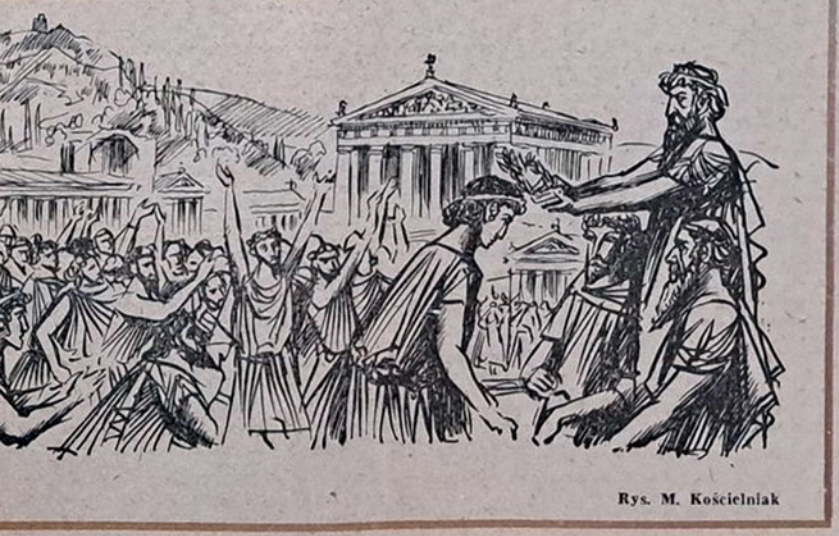

Rys. M. Kościelniak

ZAWODNIK SKACZĄCY Z KAMIENNYMI CIĘŻARKAMI (FRAGMENT MISY).

ołtarza (...) Na dalszej płaszczyźnie, przy dźwięku przenikliwej fletni, kapłani równocześnie sypali bykom na czoło jęczmień przypalany solą i nożami ofiarnymi zrzynali każdemu kępkę sierści spomiędzy rogów. Jeden zebrał wszystkie te włosy obcięte i, wszedłszy na górę, cisnął je w płomienie.

Fletniści grali ciągle. Wtem nad głowami ofiar na kształt błyskawic mignęły topory, krew trysnęła...

(...) Zaczęto niebawem ofiary odzierać ze skóry i ćwiartować. Porozkrawane kawały na szczyt ołtarza niesiono i na stos rzucano (...) Część mięsiwa zabierali dla siebie kapłani i ofiarnicy, inne części rozdzielali między tłumy, roznosząc je wetknięte na trójzęby.

(LUCJAN RYDEL)

JACK LONDON
MEKSYKANIN

Tłumaczyła MARIA KORNIŁOWICZ

(7)

PRZY „dziewięć" sędzia silnie odepchnął Riverę w tył. Nie było to uczciwe, lecz dzięki temu Danny mógł wstać, z uśmiechem, który znów zjawił się na jego ustach. Zgięty niemal wpół, ramionami osłaniając twarz i brzuch, zręcznie ruszył do zwarcia. Według wszelkich prawideł sędzia powinien był przerwać, lecz nie uczynił tego i Danny przywarł do przeciwnika jak skorupiak rzucony o skały przez wzburzone bałwany, z chwili na chwilę odzyskując siły. Ostatnia minuta rundy zbliżała się szybko. Jeśli dotrwa do końca, będzie miał pełna minutę czasu, aby przyjść do siebie, w swoim rogu ringu. I dotrwał też do końca, uśmiechając się mimo całej rozpaczy i wysiłku.

— Oto uśmiech, który nigdy nie gaśnie! — krzyknął ktoś z widowni, a reszta widzów roześmiała się głośno, podtrzymując to mniemanie.

— Coś strasznego, jak mnie ten kundel zajechał — wymamrotał zdyszany Danny do swojego trenera, siedząc w swym rogu, podczas gdy sekundanci cucili go zapamiętale.

Druga i trzecia runda miały przebieg łagodny. Danny, przebiegły i wytrawny generał ringu, grał na zwłokę, zasłaniał się, nie ustępował, starając się jedynie o to, aby wrócić do formy po oszałamiającym ciosie w pierwszej rundzie. W czwartej rundzie był znowu sobą. Pomimo szoku i wstrząsu jego dobra kondycja pozwoliła mu odzyskać zwykły wigor. Ale nie powtarzał dawnej taktyki, nie próbował już zażartej walki. Meksykanin dowiódł, że jest groźnym przeciwnikiem. Danny rozwinął wobec tego wszystkie swoje umiejętności bokserskie. Był mistrzem trików, zręczności i doświadczenia, a choć nie mógł wystąpić z decydującym atakiem, zaczął ze znajomością rzeczy razić i dręczyć ciosami przeciwnika. Na jeden cios Rivery odpowiadał trzema, ale były to tylko ciosy nękające, nie zaś śmiertelnie nieubłagane. To ich suma miała podziałać zabójczo. Nabrał respektu dla tego dwurękiego dublera i jego zdumiewających krótkich ciosów, zadawanych obydwiema pięściami.

Rivera rozwinął w defensywie zaskakujące lewe proste. I znowu, atak za atakiem odpierał lewymi prostymi z coraz większą szkodą dla nosa i warg Danny'ego. Ale Danny odradzał się jak Proteusz*). Dlatego właśnie był wschodząca gwiazdą boksu. Mógł dowolnie zmieniać styl walki. Teraz przeszedł do walki w zwarciu. Przy tym systemie okazał się szczególnie okrutny, dopomagało mu to w unikaniu dalszych lewych prostych. W ten sposób doprowadził widownię do powtarzających się wybuchów szaleństwa, koronując swe dzieło wspaniałym przełamaniem obrony przeciwnika i ciosem z dołu, po którym Meksykanin wyleciał w powietrze, a następnie opadł na matę. Rivera klęczał na jednym kolanie przez większość czasu wyliczania sekund, ze świadomością w duszy, że sędzia liczy mu sekundy zbyt szybko.

Później w siódmej rundzie Danny zadał mu znów szatański cios z dołu. Tym razem Rivera tylko się zachwiał, lecz w następnym momencie, wykorzystując oszołomienie i bezbronność chłopca, Danny nowym ciosem przerzucił go przez sznury. Ciało Rivery poleciało na głowy siedzących poniżej dziennikarzy, oni zaś zepchnęli go z powrotem na brzeg ringu, na zewnątrz olinowania. Tam też pozostał klęcząc na jednym kolanie, podczas gdy sędzia prędko liczył sekundy. Po wewnętrznej stronie lin, przez które musiał dać nura, aby znaleźć się z powrotem na ringu, czekał na niego Danny. Sędzia nie myślał interweniować ani odepchnąć go w tył.

Publiczność szalała z zachwytu.

— Zabij go, Danny, zabij go — ozwał się krzyk. Podjęły go dziesiątki głosów, aż wreszcie chór stał się podobny do jakiejś wojennej pieśni wilków.

Danny robił, co mógł, lecz Rivera już na „osiem", zamiast na „dziewięć", przeszedł niespodziewanie przez liny i bezpiecznie ruszył do zwarcia. Teraz wmieszał się w to sędzia i odciągnął go tak, żeby można go było dosięgnąć, dając w ten sposób Danny'emu wszelkie fory, jakie tylko nieuczciwy sędzia dać może.

Ale Rivera żył i otumanienie opuszczało jego mózg. Wszystko było jasne. Wszyscy byli znienawidzonymi gringos i wszyscy byli nieuczciwi. Różne obrazy nadal przesuwały się przed oczyma Rivery — długie linie torów kolejowych przecinające pustynię w różnych kierunkach; amerykańscy policjanci; więzienia i areszty; włóczędzy przy cysternach z wodą — cała ta wstrętna i bolesna panorama, jaką oglądał w czasie swej wędrówki po opuszczeniu Rio Blanco i po strajku. A potem ujrzał wielką, czerwoną rewolucję przemierzającą w chwale i wspaniałości cały kraj. Broń leży tu, przed nim. Każda znienawidzona twarz — to karabin. Przecież właśnie o broń walczył. On był tą bronią. On był rewolucją. Walczył za cały Meksyk.

Widownię zaczął ogarniać gniew na Riverę. Czemu nie bierze ciegów, które są mu przeznaczone? Przecież wie, że będzie pobity, czemu więc tak uparcie się przed tym broni? Bardzo niewielu widzów było zainteresowanych jego osobą i stanowili oni tylko nieduży procent tłumu kibiców, który grał o wysokie stawki. Pomimo wiary w zwycięstwo Danny'ego postawili pieniądze na Meksykanina w stosunku cztery do dziesięciu i jeden do trzech. Mała garstka zakładała się o to, ile rund Rivera zdoła wytrzymać. Pieniądze stawiane na los szczęścia zjawiły się przy ringu wraz z oświadczeniem ich właścicieli, że Meksykanin nie przetrzyma siedmiu, a nawet sześciu rund. Skoro zwycięzcy tych zakładów przekonali się, że ich gotówce już szczęśliwie nic nie grozi, przyłączyli się do tych, którzy głośno okazywali swój entuzjazm dla faworyta.

Rivera ani myślał dać się pobić. W ciągu ósmej rundy jego przeciwnik na próżno usiłował powtórzyć swój cios z dołu. W dziewiątej rundzie Rivera ponownie wprowadził widownię w osłupienie. W połowie zwarcia przełamał obronę szybkim, zręcznym ruchem i w wąskiej przestrzeni między ich ciałami — jego prawa zadała cios z dołu. Danny znalazł się na ziemi, bezpieczny w czasie wyliczania sekund. Tłum był przerażony. Danny został prześciągnięty — pobity własną bronią. Jego słynny cios z dołu został obrócony przeciw niemu. Rivera nie czynił żadnych prób, aby dopaść przeciwnika, gdy ów podniósł się przy liczbie „dziewięć". Sędzia jawnie przeszkadzał w dokonaniu takiego manewru, choć stał spokojnie, gdy sytuacja była odwrócona, to jest, gdy Rivera musiał się podnosić.

Dwukrotnie w czasie dziesiątej rundy Rivera zadał cios wymierzony z wysokości pasa w brodę przeciwnika. Danny wpadł w rozpacz. Uśmiech ciągle nie opuszczał jego twarzy, powrócił do swych zażartych ataków. Huraganem ciosów nie zdołał wyrządzić Riverze szkody, podczas gdy Rivera, poprzez oślepiający wir, rozciągnął go na macie trzy razy z rzędu. Danny teraz już nie przychodził do siebie tak prędko i w jedenastej rundzie sytuacja jego stała się poważna. Lecz od tej chwili aż do czternastej rundy dał pokaz najwspanialszej gry w swojej karierze. Grał na zwłokę, zasłaniał się, walczył oszczędnie, starając się zebrać siły. Poza tym walczył tak nieuczciwymi sposobami jakie tylko znać może zawsze wygrywający bokser. Stosował wszystkie tricki i sztuczki uderzając niby przypadkowo głową w czasie zwarcia, przytrzymując rękawice Rivery pomiędzy ramieniem i ciałem, zatykając swoją rękawicą usta przeciwnikowi, aby zatamować mu oddech. Często, przez rozcięte nadal uśmiechające się wargi charczał do ucha Rivery nie dające się powtórzyć, nikczemne obelgi. Wszyscy, począwszy od sędziego, a kończąc na publiczności, byli po stronie Danny'ego i dopingowali go. Wiedzieli, do czego zmierza. Zaskoczony niespodzianką ze strony nikomu nie znanego przeciwnika, postanowił skończyć z nim jednym ciosem. Znosił bolesne razy, czatował, udawał, że atakuje, kurczył się, po to tylko, aby w chwili oderwania się od przeciwnika zadać decydujący cios i odwrócić zwycięstwo na swoją stronę. Wzorem pewnego słynnego boksera chciał trafić przeciwnika prawym w splot słoneczny, a lewym w szczękę. Mógł to uczynić, gdyż słynął z siły swych ciosów, z siły, która nie opuszczała jego ramion, dopóki tylko mógł utrzymać się na nogach.

*) Proteusz — według starożytnych podań greckich — starzec mający zdolność przybierania różnych postaci.

Cdn,

Rys. M. Majewski

KLUB NASTOLATKÓW

Spójrzmy otwarcie na siebie

Ostatnio w Klubie nasi czytelnicy często piszą o swoich kolegach, którzy krytykują innych, a sami też nie zawsze są w porządku. Czytelnicy pytają: ◆ Czy nie mamy sobie samym niczego do zarzucenia? ◆ Czy zawsze postępujemy rycersko? ◆ Jacy naprawdę jesteśmy?
KLUB CZEKA NA WASZE LISTY!

Ostatnio w naszej szkole odbyła się zabawa. Było bardzo wesoło. Wszyscy śmiali się, tańczyli, słowem bawili się doskonale. Każda z dziewcząt miała partnera — kolegę szkolnego. Wracając koleżanki wzajemnie opowiadały sobie, jak to było na zabawie.

Ja inaczej niż inne dziewczynki, wracałam zupełnie samotna. Podczas zabawy tańczyłam tylko z siostrą i moją ulubioną koleżanką. Nie wiem dlaczego, ale ani jeden z kolegów nie podszedł do mnie i nie zaprosił do tańca. Muszę się przyznać, że nie jestem ładną dziewczynką. Czyżby to od urody zależało, czy chłopiec zaprosi dziewczynę do tańca, czy nie? Byłam skromnie uczesana i ubrana. Moje koleżanki przyszły ubrane w modne mini-spódnice, buty na obcasie. Czy ich ubiór tak bardzo podobał się chłopcom? Normalnie w szkole na lekcjach nie robią takich różnic.

Oceniam siebie trzeźwo bez wmawiania sobie walorów, których po prostu nie mam.

Sytuacja taka jest trochę bolesna, ale czy każda prawda jest wesoła?

„ESMERALDA"

Przyjaźnię się z koleżanką, która ma krótki wzrok. Jest ładną, a może i nawet bardzo ładną dziewczyną. W klasie znalazło się kilku chłopców, którzy uważają się za superdżentelmenów. Każdego dnia wynajdują coraz to nowsze przezwiska, które wiążą się z noszeniem okularów. Nazywają Beatę — „ślepą kurą"! — Bzdura! Przecież to nieprawda! Nosi okulary tylko dlatego, że ma słaby wzrok.

Siedzimy w jednej ławce. Tłumaczę jej, aby nie zważała na kpiny chłopców, że w przyszłości może doprowadzić stan oczu do prawdziwego kalectwa. Bo moja koleżanka teraz rzadko wkłada okulary. Zrobiłam co mogłam, ale już mi ręce opadają ze złości i poczucia bezsilności. Na lekcjach Beata stale dopytuje się co jest napisane na tablicy, jaki jest rysunek? I tak w kółko! Żal mi Beaty, mam pretensję do chłopców. Ale cóż, nie udało mi się wytłumaczyć jej, że złośliwe przezwiska tworzą głupcy — dla wątpliwej zabawy. A cóż myślą o sobie ci wspaniale wychowani chłopcy-dżentelmeni?

CZTERNASTOLATKA z P.

NASZA KLASA MOGŁABY SIĘ ZMIENIĆ

Chodzę do ósmej klasy. W naszej klasie zdarzają się wybryki, które z całą pewnością zaciążą na opinii wszystkich zdających do szkół średnich.

Dziewczęta i chłopcy mają prace ręczne oddzielnie, w dwóch różnych pracowniach. I oto przed samym okresem chłopcy zrobili „kawał" pani od prac. Aby było cieplej, rozpalili ognisko w pracowni. Ten czyn postawił na nogi całą radę pedagogiczną. Dawniej nasza klasa była chwalona przez wszystkich, a teraz jesteśmy gorsi od uważanych powszechnie za najgorszych. Sypią się skargi i protesty uczących naszą klasę.

Jest kilka jednostek, których zachowanie wpływa na całą klasę. Co oni — to i reszta. Ja mam tego dość. Postanowiłam pogadać z klasą. Przez dwie godziny lekcyjne mówiłam, a oni nic, siedzieli jak mumie egipskie. Cieszyli się, że dwie lekcje przeminęły z wiatrem.

Prosili potem — zagadaj jeszcze raz naszą panią, to będzie fajnie. Oczywiście nie zrobiłam tego, bo uświadomiłam sobie, że nic z tej godziny nie wyjdzie. Porozmawiałam z przewodniczącym klasy, jego zastępcą, nic! Nie biorą niczego poważnie, nie chcą się trudzić. A nasza klasa mogłaby się zmienić. Chce mi się po prostu płakać.

Wychowawczyni (tak sądzę) zgadza się ze mną w kilku sprawach klasy, kiwa z uznaniem głową, i co dalej? Dalej jest jedno wielkie nic. Bo ani klasa, ani sam Samorząd niczego nie rozumie. Jak to się mówi: pusty śmiech ogarnia!

Drogi Klubie! Pomóż mi! W głowie mam już mętlik. Nie wiem, od czego zacząć, bo tych spraw nazbierało się strasznie dużo. Samym gadaniem nic nie zdziałam, a z Samorządem bić się nie będę.

I co gorsze — przewodniczący boi się. Jasne, boi się o swoją skórę. I co z takim zrobić? Jest chłopakiem do rzeczy, umie gadać i na pewno coś by poradził przeciwko tej chorobie klasowej. Ale on nie chce i już. (bs).

Co robić?

„ZMARTWIONA"

Od dawna jestem stałą czytelniczką „Świata Młodych". Bardzo lubię czytać listy zamieszczane w „Klubie Nastolatków". Spodobała mi się wypowiedź pod tytułem: „W pogoni za chłopcami". Kolega pisał wtedy o dziewczętach, które za wszelką cenę chcą zdobyć chłopca. Wypowiedział się jednak tylko jednostronnie. Przecież nie wszystkie dziewczęta są takie. Jest bardzo wiele inteligentnych i wartościowych dziewcząt. Zresztą niektórzy chłopcy (zaznaczam jeszcze raz, że tylko niektórzy) postępują podobnie. Idąc przez park jestem zaczepiana przez chłopców. Zresztą nie tylko ja, inne dziewczęta również. Wtedy można usłyszeć taki zwrot: „Hej lala, daj się poderwać!" Czy ci szlachetni dżentelmeni myślą, że w ten sposób zdobędą nasze zaufanie i zyskają sobie sympatię?

I druga sprawa — w związku z wypowiedzią Zosi z Warszawy. Zosia napisała tak: „Ja nie cenię wcale chłopców przystojnych, ale inteligentnych, mądrych". Zgadzam się z nią co do tego, że chłopiec zasługujący na przyjaźń powinien być inteligentny. Muszę jednak sprzeciwić się temu, że nie ceni chłopców przystojnych. Przecież chłopiec może być inteligentny, mądry, rozsądny, a jednocześnie przystojny. Czy wtedy, gdy jest ładny, nie może być wartościowy?

Czy sama też posiada wszystkie wymienione w wypowiedzi cechy charakteru? Bardzo mnie ten problem ciekawi. Podyskutujmy, zapewne i inni czytelnicy z ciekawością przeczytają szczere wypowiedzi swoich rówieśników.

ASKA

Foto: K. Czapiński

My, chłopcy, nie interesujemy się tak bardzo sprawami dziewcząt. Mamy swoje własne problemy i nic nas nie obchodzą plotki.

A o różnych sprawach dziewcząt dowiadujemy się (podkreślam) nie przez podsłuchiwanie, lecz od samych dziewcząt. Po pierwsze — to one często chwalą się przed nami swoimi wyczynami (najczęściej sercowymi). Po drugie — między sobą rozmawiają tak głośno na różnych lekcjach, że my automatycznie dowiadujemy się o wszystkim. **Siebie nie widzą, na nas zwalają winę za wszystko co złe!**

Przy okazji chcę powiedzieć, że najlepszą ilustracją tego stanu są przerwy. Najczęściej na przerwach widzi się oddzielnie grupę chłopców i oddzielnie paczkę dziewcząt. My, chłopcy, omawiamy wtedy swoje własne sprawy i nie tracimy czasu na podsłuchiwanie szczebiotu dziewcząt.

Zaznaczam, że w sumie klasa jest zgrana i wiele osób się z sobą przyjaźni.

K. B. z Warszawy

PAMIĘTAM w Klubie wypowiedź pt. **„Obojętność na wszystko"**. Mój rówieśnik krytykował w niej obojętny stosunek dorosłych do człowieka, który zasłabł na ulicy. Autor przykrego wydarzenia spojrzał krytycznym okiem na ludzi, ocenił ich za bezduszność, opisał swoje pretensje, że nikt choremu nie przyszedł z pomocą.

Ale dlaczego gani innych, jeżeli sam nic nie zrobił, aby mu pomóc? Zadowolony, opisał chwalebny czyn swego rówieśnika i sam spoczął na laurach. Chwalmy innych za to, co dobre, ale patrzmy trochę krytyczniej na siebie. Samouwielbienie nie przyniesie nam żadnej satysfakcji moralnej!

AGNIESZKA
z Sawlin

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administr. 21 15-16. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 403. N-67

Korespondencja

z Czechosłowacji

100 MILIONÓW PAR BUTÓW

Z czego słynie Czechosłowacja?... Każdy mógłby w tej chwili rozpocząć wyliczanie najprzeróżniejszych przedmiotów, które zrobiły karierę na rynkach światowych. Robotnicy w fabrykach zachwalać będą obrabiarki i inne ciężkie maszyny produkowane w zakładach przemysłowych Pragi, Ostrawy, Brna. Rolnicy znowu powiedzą, że najlepszy jest traktor „Zetor". Entuzjaści motoryzacji godzinami potrafią zachwalać motocykle marki „Jawa" oraz samochody „Skoda 1000 MB". Panie na pierwszym miejscu postawią przepiękną biżuterię szklaną rodem z Jabloneksu. Piwosze — od razu wiadomo — pilzner! Największą jednak karierę w świecie zrobiły i wciąż robią... buty! Chwalą je sobie eleganckie panie i młodzi panowie, dziewczynki i chłopcy, babcie i dziadkowie. Nawet Eskimosi z dalekiej Grenlandii i północnej Kanady szukają w sklepach ciepłych butów made in CSRS. A Indianie Ameryki Południowej nie mają słów uznania dla mokasynów, które zaprojektowali specjalnie dla nich szewcy z Czechosłowacji.

W Czechosłowacji znajduje się 13 wielkich zakładów produkujących buty. Największe są zakłady „Świt" w Gottwaldowie, które wytwarzają rocznie 100 milionów par butów. Natomiast pozostałe 12 zakładów produkuje drugie 100 milionów par butów. Łączna więc produkcja tych zakładów zamyka się cyfrą 200 milionów par butów!

Te cyfry stawiają Czechosłowację w rzędzie największego potentata obuwniczego świata! W Czechosłowacji przypada również najwięcej butów na głowę ludności. Jak wykazuje statystyka każdy obywatel CSRS (łącznie z niemowlętami) zakupuje rocznie 7 par butów.

Zwiedzam „Świt"

LĄDUJĘ rano w Gottwaldowie. W tym 70-tysięcznym mieście znajduje się największy w Czechosłowacji kombinat butów „Świt". Zatrudnionych jest w nim 12 tysięcy wysokiej klasy specjalistów, którzy wytwarzają rocznie ponad 100 milionów par butów!

Przed wojną zakład był własnością jednego tylko człowieka — Tomasza Baty. Założona przez niego w roku 1894 niewielka manufaktura, przekształcała się powoli w coraz to większy kombinat obuwniczy. W roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa. Dla milionów ludzi była ona wielkim nieszczęściem — Tomaszowi Bacie przyniosła jednak olbrzymią fortunę. Armia austro-węgierska cesarza Franciszka Józefa potrzebowała butów. Bata otrzymywał coraz to nowe zamówienia. Zbijał fortunę. Po wojnie był już milionerem. Teraz jego filie powstawały jak grzyby po deszczu w wielu krajach europejskich i zamorskich.

Druga wojna światowa przyniosła Bacie miliardy. Współpracował teraz z hitlerowcami, którzy okupowali Czechosłowację. Wytwarzał buty dla tych, którzy zapragnęli podbić świat. Tym razem jednak przegrał. Wiał z Czechosłowacji wraz ze swoimi hitlerowskimi opiekunami. Wielką już fabrykę przejęli robotnicy. Rozbudowali ją, unowocześnili, sprowadzili najnowsze maszyny i urządzenia i produkują wspaniałe buty, o wiele lepsze i ładniejsze niż niegdyś. A Bata?... Mówią mi, że żyje w Stanach Zjednoczonych. Ma tam swoje fabryki. Prowadzi je wraz z synem. Tylko, że jego buty nie umywają się do tych, które teraz wyrabia się w Gottwaldowie.

Spaceruję po wielkich, jasnych halach. Cały proces produkcji jest zmechanizowany. Na parterze oglądam tysiące drewnianych skrzynek, w których poukładano wszystko to, co jest potrzebne do wykonania jednej pary butów. Skrzynka ta wędruje po ruchomej taśmie, od jednego stanowiska do drugiego, każdy z pracowników wykonuje jakąś określoną czynność i oto gotowe już buty zjeżdżają do kontroli technicznej. Każdą parę sprawdza się dokładnie i jeśli oko nie nie dostrzeże, kontrola przylepia na podeszwę swój stempelek.

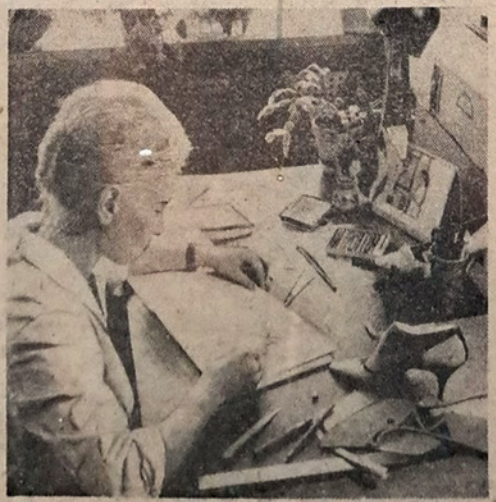

Na zdjęciu widzicie artystkę-plastyka, która modeluje nowy fason szpilek

Tanio i ładnie

W czasie mojej wędrówki po „Świcie" towarzyszy mi pan Madera. Dowiaduję się od niego, że w zakładzie wytwarza się aż 1200 rodzajów obuwia. Nowe wzory butów projektuje cały sztab artystów-plastyków, którzy zajmują na swoje pracownie wielopiętrowy gmach. Obowiązuje ich zasada, iż but musi być ładny, solidny i tani. Śledzi się tu również produkcję innych krajów — szczególnie włoską i francuską. Dowiaduję się przy okazji, że w przyszłości coraz bardziej będzie się zastępować skórę masami plastycznymi. A więc wielkie zadanie przed chemią, która musi wytworzyć tworzywo sztuczne odpowiednie dla produkcji butów. W tej chwili ponoć tylko Japończycy mogą się pochwalić odpowiednio dobrym tworzywem sztucznym, z którego wyrabia się doskonałe, piękne w barwie cholewki. Tworzywo to nie pęka, jest miękkie i trwałe.

Druga zmiana kończy pracę. Tysiące ludzi — przeważnie kobiety — opuszczają bramy zakładu. Przy stanowiskach staje zmiana trzecia. Na bocznicy kolejowej załadowuje się do wagonów tysiące pak z butami. Wędrują one do sklepów w całej Czechosłowacji ,wysyła się też do 80 krajów świata — w tym również do nas.

ZB. PAWŁOWSKI

Wiek X—XI

Wiek XIV

W Gottwaldowie znajduje się jedyne w świecie muzeum butów. Obejrzeć w nim można obuwie wytwarzane przez szewców w różnych wiekach.

Wiek XVII

Wiek XVIII

Wiek XIX.